

CZARCI OGRÓD

SAGA RODU TYSZKOWSKICH





Magda
SKUBISZ

CZARCI OGRÓD

SAGA RODU TYSZKOWSKICH



**GORZKA
CZEKOLADA**

Copyright © 2022 by Magdalena Skubisz
Copyright © 2022 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki Urszula Gireń
Zdjęcie na okładce Abigail Miles / Arcangel

Mapa części majtku Tyszkowskich
pochodzi z www.maps.arcanum.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów
w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe
jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-195-9

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład Andrzej Komendziński

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich,
nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie,
np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz
autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

(...) jak miał powiedzieć Pol, że od szlachcica zaczynał się człowiek, a niżej były istoty do ludzi podobne.

Józef Ignacy Kraszewski, *Kopciuszek*
[Maurycy Orgelbrand, Wilno 1863]



Część majątku Tyszkowskich w połowie XIX wieku







Jaśnie pan Antoni Gozdawa Tyszkowski – przez rodzinę zwany Tonim, a przez swych pocztowych włościan sukinsynem i moczymordą – wolniutko rozchylił okiennice i wyrzwał na boży świat, trąc oczy. Oślepiająca biel poraziła go jak świętego Pawła w drodze do Damaszku.

Jezusie, co za kac!

Śnieg padał za głośno. Spojówki piekły, w żołądku chlupała niestrawiona gorzałka, a mróz gryzł i drapał po twarzy zupełnie jak cycata Melania, której towarzystwo umilało jaśnie panu wczorajszy wieczór.

Zaczęło się obiecująco, ale potem do środka wpadł mąż Melanii, krzycząc, że nie godzi się panu kraść żon swym poddanym, i krzyczał tak głośno, aż Toni musiał mu włożyć do rozdartej gęby lefoszówkę. Chciał strzelić, ale akurat przypomniał sobie, że skończyły mu się naboje, więc uciszył chłopą tańszym sposobem.

Poczekał, aż cham uklęknie, a potem prościuteńko, z wojskową precyzją trzasnął go lufą w szczękę. Wybił dwa albo trzy zęby – nie zdążył policzyć, bo chłop zaniósł się wyciem i plując krwawą śliną, rzucił mu się do

nóg, błagając o litość. Uświł przy tym ulubione oficerki Toniego, za co zarobił kolejny cios w głowę.

Wszystko to zniesmaczyło jaśnie pana: uwalane buty, zachłystujący się krwawymi smarkami wieśniak i jego żona, której cycki nagle wydały się Tyszkowskiemu wcale nie takie duże, jak sądził, a nawet obwisłe i niegodne szlacheckich rąk.

Dzień obrzydł mu na dobre, więc aby go jakoś sensownie zakończyć, Toni – po powrocie do dworu – upił się do nieprzytomności. I jak zwykle samotnie, gdyż jego młodszy brat Józef tradycyjnie spędzał noc u swojej chłopskiej kochanicy Ludmiły (z którą zdążył spłodzić dwoje dzieci), a matka miesiąc temu uciekła do Zawozu, by – jak wykrzyczała synowi w chwili złości – „oszczędzić sobie widoku tej wiecznie cuchnącej gorzałki mordy!”.

W istocie, folwarczny dwór w Jamnej stał się od miesiąca prywatną austerią Toniego.

Tyszkowski mógł pić, kłać, śpiewać, spać w ubraniu, bałamucić dziewczki, a po wyjeździe matki strzelać do jej ukochanych kwiatów w oranżerii. Zgodnie z zasadą, że człowiek bogaty nie musi hamować swego gniewu, rozstrzelał wszystkie róże, storczyki i strelacje, a zakończył masakrę dopiero, gdy został mu ostatni nabój.

To jaśnie pana otrzeźwiło.

Nazajutrz z samego rana wyprawił do Przemyśla swego lokaja Oktawiana z nakazem, by nie pokazywał się w Jamnej bez naboju. Sługa srodze go zawiadł. Przywiózł tylko kapiszony, śrut, kule, proch i wiadomość, że rusznikarz nie wie, co to lefoszówka, i że to pewnie jakiś

durnowaty, francuski wymysł, równie ludziom potrzebny co francuska choroba.

Toni skrzywił się. Przed laty, jako student wojskowej akademii potrafił całkiem zręcznie elaborować. Ale teraz? Bawić się ołowiem jak byle kadet?

Myśl, że zamiast niewinnych uciech czeka go brudna robota, podziałała przygnębiająco. I taki przygnębiony poszedł właśnie do Melanii, stłukł jej męża, upił się, a teraz, rano, oskrobując z bryczesów krew niewiadomego pochodzenia, nie czuł już złości. W ogóle nic nie czuł, poza kacem i własnym, pogorzałkowym smrodem.

Toni chwiał się przy oknie z wywieszonym, obrzmiałym językiem, na który spadały śnieżne płatki, a chęć zachłania się na śmierć trzęsła jak febra.

– Marlon! – chrypnął.

Wielki czarny ogar wygramolił się spod łóżka i przydreptał do nóg pana. Tyszkowski poklepał go po kanciastym łbie.

– Dobry piesek, dobry... Przyprowadź durnia!

Pies, nauczony komendy, podbiegł do drzwi, skoczył na klamkę i wymknął się na korytarz.

Toni tymczasem zdjął przepoconą koszulę. Zgarnął z parapetu śnieg, natarł nim obficie tors i podrapane przez Melanię policzki. Beknął, wzdrygnął się raz i drugi, wreszcie gwałtownie zwymiotował na biały puch pod oknem. Z łokciami wspartymi na parapecie, ze strąkami czarnych włosów opadającymi na twarz, wychylony połową ciała na zewnątrz niczym zepsuta kukółka w zegarze, zagapił się na resztki rozbryźniętej na śniegu pieczeni z dzika.

Otarł usta, odwrócił się i chwiejnym krokiem podszedł do stołu. Teraz chciał czymś zająć ręce, na przykład wyczyścić gilzy z resztek prochu.

Gilzy – ułożone wczoraj w ładną kupkę przez lokaja – były już z grubsza pozbawione nagaru, ale gdy Toni usiadł i chwycił pierwszą z brzegu, dłoń tak mu zadrżała, że zrzucił cały stos na podłogę.

– Ej, durniu! – wrzasnął do sługi, który wyłonił się z głębi korytarza z przewieszonym przez ramię obrusem ze śladami po ostatniej libacji. – Gdzieś się podziewał, zasańcu?!... Podnieś to migiem!

Tyszkowski schylił się, żeby wskazać Oktawianowi walające się pod stołem gilzy, ale w głowie tak mu łupnęło, że prawie spadł z krzesła.

– Jaśnie panie, cóż to panu?! Żle się pan czuje?

– Won, chamie! – Odepchnął rękę lokaja. – Nie dotykaj mnie! Czaroducha cię przeklęła i nie waż się mnie tknąć! Stare baby mówią, że jak przeklęty kogo tknie, to jego klątwa przenosi się jak zaraza. Won, powiedziałem!

Oktawian odskoczył i posłusznie padł na kolana. Wczołgał się pod stół, zgarniając oburącz gilzy.

– Podziel je na dwie części. – Toni łaskawie przesunął nogę, żeby ułatwić słudze pracę. – Jedne do śrutu, drugie do kul... Szybciej, szybciej! Nie kręć się, jakbyś własnej dupy szukał!... Dobra, teraz drut i szczypce! I z dala od okna, bo światło zasłaniasz!

Lokaj wysypał gilzy na stół, wyjął z szuflady szczypce i zwój cienkiego, miedzianego drutu, po czym z ukłonem podał panu utensylia.

Toni rozdygotaną, zimną dłonią ujął jedną z gilz, z pomocą drutu włożył do środka kapiszon, wyregulował szczypcami odległość iglicy od kapiszона. Spocił się przy tym jak mysz. Cienka iglica tańczyła mu przed oczami – raz widział jedną, raz dwie, a raz nawet pięć z kawałkiem.

Odetchnął, zamrugał, zacisnął zęby; rozmnożone iglice zlały się w całość.

Teraz najgorsze – musiał dokładnie odmierzyć ilość prochu. Jeśli wsypie za mało, kula będzie miała mały zasięg; jeśli zbyt dużo, lefoszówka wybuchnie mu w rękach.

Z tego ostatniego czaroducha by się ucieszyła...

Czy to przypadek, że zaczął pić po jej wyjeździe? Pewnikiem przeklęła go wtedy razem z Oktawianem! Bezczelna prostaczka! Co jej się zdawało? Że herbowego szlachcica sobie wokół palca owinie?!

– Jaśnie panie! Niech pan tak nie ściska...

Tyszkowski się ocknął. Mosiężna łuska w jego pięści częściowo straciła kształt.

– Na co się gapisz, durniu...? Przynieś proch! Namoczyleś przybitki w parafinie?

Oktawian milczał, ale jego otwarta, gapowata gęba mówiła sama za siebie.

Toni niewiele myśląc, zdzielił go pięścią.

Trafił w żołądek. Lokaj jęknął, zgiał się wpół i ukląkł przed jaśnie panem jak do modlitwy.

– Ile razy mówiłem, że masz przygotować korki i namoczyć w gorącej parafinie?!

– Ani razu, jaśnie panie! – zawołał, trzymając się za brzuch. – Ale najmocniej przepraszam jaśnie pana, powinienem był zapytać!

– Zejdź mi z oczu!... – Toni znowu zamierzył się pięścią. Sługa nakrył głowę rękami w oczekiwaniu na cios. – Won do kuchni po kawę! Tylko mocną! Mocną! Zapamiętaj sobie, bo łeb masz dziurawy jak przetak, ty żałosna kurwo w liberii!

Na te słowa musiał wejść nie kto inny, tylko Sabina. Obrzuciła jaśnie pana potępieńczym spojrzeniem, a Tyszkowski – mimo trzydziestki na karku – znowu spłoszył się na widok ochmistrzyni jak złajany gówniarz.

– Nie trzeba posyłać Oktawiana – wycodziła lodowato, stawiając na stole parującą filiżankę. – Smacznego jaśnie panu!... Podać śniadanie czy sama kawa wystarczy, zanim spije się pan gorzałką?

Zerwał się z krzesła. Dobrze, że złapał za oparcie, bo podłoga zachwiała mu się pod nogami.

– Jak śmiesz?! Cóż to za impertynencje z samego rana?!

– Jest dwunasta.

Ochmistrzyni – znana z tego, że nie bała się nikogo i niczego, a zwłaszcza panów Tyszkowskich, których wyniańczyła na swoich kolanach – hardo spojrzała mu w oczy.

– A śmiem pytać, bo za długo wszyscy milczą i boją się pańskiego gniewu, co go pan wylewasz, nie patrząc na kogo i za co! Co pan wyprawiasz?! Jeszcze trzy miesiące temu jaśnie pan biadolił: „nie będę chodził, nie

będę chodził”! A teraz robi wszystko, żeby znów napytać sobie biedy!

– Co ty bredzisz, kobieto?! Jakiej biedy?!

– A to?! – Sabina wskazała na stół. – Ręce latają jak u chorego na febrę! Chce się pan bawić prochem, palce albo wzrok stracić?! Okuleć na własne życzenie?!

– Nie twój interes! – wysyczał, ściskając mocniej krzesło. – To nie do pomyślenia, żeby baba miała mnie pouczać, jak się z bronią obchodzić!

Sabina zmrużyła oczy.

– Przypominam jaśnie panu, że w tym dworze nikt inny, jeno baba dała odpór chłopskim bandom, gdy czerń napadła! Baba własną piersią ten dom obroniła! Ona, nikt inny, bo nikogo innego nie było! Pański ojciec dogorywał, pan byłeś student we Wiedniu, wojsko poszło bronić Rybotycz, a ona sama jedna własne życie narażała, by dwór się ostał w jednym kawałku...

– Tak, że go spalili!... – zakpił, urażony do żywego oskarżeniem o nieporadność. – Wyrosłem na tych opowieściach. Jak im atrament podała do picia, twierdząc, że to wódka, i jak potem, gdy czerniński watażka spostrzegł, że gołnął coś czarnego, o otruciu ją oskarżył. I jak ją cepami chcieli młócić ze złości.

Toni umilkł. Potarł krótką brodę, która mu wykielkowała od ostatniego balu. Tego balu, kiedy to obejmował żebra Katji, chude i wystające jak u zagłodzonego psa.

– Co tam u pani Barbary? Słyszałem, że urodziny ostatnio wyprawiała. Któreż to? Pięćdziesiąte?

– Pięćdziesiąt i jeden. – Sabina posłała mu delikatny uśmiech. Toni poczuł, jak jego wściekłość topnieje. –

Ale wieku po niej nie widać. Nadal prosta, energiczna, z językiem jak harpia. Zawiaduje folwarkami, zarządców trzyma w garści, teraz do syna do Dobromila wyjechała...

– A moja matka ode mnie ucieka...

Popatrzył w okno. Śnieg sypał nieprzerwanie od tygodnia, tworząc zaspę na drogach i parapetach. Zdawało się, jakby niebo cierpiało na kaca; niczym pijak opróżniający żołądek, wciąż pluło mroźnymi okruszkami.

– List przyniosłam.

Toni odkleił wzrok od szyby. Podrapał się po włosach, spotniałej piersi, której nie wypadało prezentować kobiecie w średnim wieku, jednak Sabina przywykła do tak różnorodnych ekscesów w wykonaniu jaśnie pana, że niewiele ją gorszyło.

– List do mnie? W taką pogodę? Skądże to?

Ochmistrzyni energicznie przetrząsnęła kieszenie fartucha, wyrzucając z nich to chustki, to klucze, to szpilki do włosów.

– I gdzieżeś jest, zatraceńcu... – Tu zakłęła krótko i soczyście, co Toni uznał za swój mały wkład w demoralizowanie służby. – Poczta nie doszła, ale posłaniec z Birczy owszem. – Znalazła list i podała go Toniemu. – Państwo Kowalscy muszą mieć ciężką rękę, skoro parobek w taką pogodę do nas dotarł. Wyziębiony, siny i ledwo żywy. – Naraz pacnęła się w czoło. – Olaboga, przecie obiecałam, że go nakarmię!

Jak zwykle nie pytając o pozwolenie, wymknęła się za drzwi, a po chwili na schodach dały się słyszeć odgłosy łajania podkuchennych.

Toni otworzył na oścież okno, złamał czerwony lak z odcisniętym herbem Habdank i wystawiając spocorny od kaca tors na lodowate bicze wiatru, zagłębił się w lekturze. Przeskakiwał akapity, omijał wzrokiem pytania o zdrowie, pożerał treść w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o niedawnej awanturze na balu, pretensji, złośliwych aluzyjek autorstwa Augusty, ale niestety – była to zwykła, mdła, pozbawiona polotu epistoła, z gatunku tych, których Toni dostawał na pęczki od rozmaitych szlacheckich rodzin, chcących utrzymać dobrosąsiedzkie stosunki. List, choć przejmująco nudny, zawierał jednakże jedno interesujące zdanie, wtrącone jakby mimochodem między informacją o rychłym ożrebieciu się klaczy Marcela a grafomańskim opisem „pociętego pasami mgły” styczniowego nieba. Brzmiało ono następująco: „Tuszę, iż acan mile wspominasz nasze polowania, i zapewniam Cię, że gdybyś zechciał takowe powtórzyć, cała nasza familia pozostaje niezmiennie do Twej dyspozycji – podobnie jak nasza puszcza, w której żeś swego czasu wilki na swe słynne futro ustrzelił”.

Toni zagapił się w majaczący na horyzoncie Las Cieni.

Powędrował wspomnieniem do Sylwestra, na którego zaprosił Kowalskich niecały miesiąc temu...

Przygotował ucztę, ściągnął cukry i wódki Baczewskiego ze Lwowa, najętemu kucharzowi polecił przygotować auszpiki z ryb i kapłony z truflami, a Sabinie – koniecznie, ach koniecznie! – kapuśniak na gęsi. Wybił świeżym aksamitem karciane stoliki, nastroił fortepian, zamówił frak u krawca, obciął włosy wedle najnowszej mody i rzucił picie na całe pięć dni przed balem.

Pamiętał, jak czekał na sanie. Wyglądał ich jak zbawienia, wywieszony do połowy przez to samo okno, przez które teraz wahał trzeźwiący umysł śnieg. Wtedy taki sam mróz gryzł po policzkach, a łzy zbierały się w kącikach oczu, gdy raz po raz, z uporem maniaka liczył wysiadających z sań gości. Senior rodu Adam Kowalski, jego młodsza o ćwierć wieku żona Ludwika, najstarszy syn Innocenty, średni Marcel, najmłodszy Staś. I wreszcie trzy kobiece suknie: Augusty, jej guwernantki Konstancji i... pokojówki.

Pamiętał, że trzasnął okiennicą, aż pękła szyba. Powitał przybyłych z uśmiechem szaleńca na drgających policzkach, nie mógł tańczyć ani jeść, i pił tylko więcej niż zwykle, wznosząc toast za nowy, 1855 rok znakomitą starką Baczewskiego.

Kapuśniak kazał wylać psom.

Augusta zagadywała, żartowała, wreszcie wyciągnęła opornego gospodarza do walca i patrząc mu bezczelnie w oczy, spytała, czy przyczyną złego nastroju nie jest aby nieobecność na balu panny Jekateryny.

Zbladł i pomylił kroki, po czym zaprzeczył z całą gorliwością, wyśmiewając dawanie wiary plotkującym babom.

„Szkoda, bo gdybyś był ciekaw, może zdradziłabym powód, dla którego nie chciała tu przyjechać”.

„Nie chciała?!” – syknął, a Augusta z uśmiechem kogoś, kto właśnie potwierdził swe przypuszczenia, wyszeptała, muskając wargami jego ucho:

„Namawiałam ją po stokroć, mówiłam, pojedź, pan Antoni zawdzięcza ci tak wiele, ucieszy się, kiedy cię

zobaczy, a ona: nie i nie. W końcu wyznała ze łzami w oczach, że nie ma odpowiedniej sukni, żeby się na balu pokazać, a chciałyby różową, z muślinu, z dekoltem i trenem... Mówię jej, Katju kochana, przecież mogę przerobić jakąś swoją suknię dla ciebie, nie wypada, by uboga dziewczyna paradowała w muślinach, a na to ona: po cóż panienka ma przerabiać swoją suknię, skoro w osobie jaśnie pana mamy wspomóżyciela biednych, co to wzorem Chrystusa nagich przyodziewa? Przecież pan Sepp mi taką piękną suknię sprawił na podróż, teraz kolej na pana Antoniego, nieprawdaż?...".

Zmroziło go to jakoś i nie bardzo do Katji pasowało, bo sam pamiętał, jak się broniła przed suknią, którą jego matka dla niej własnoręcznie wyrychtowała, ale któż zna kobiety...? Mogła zakosztować w fatalaskach równie mocno jak w książkach.

Wtedy kpiący uśmieszek Augusty uszedł uwagi Tyszkowskiego. Przypomniwał go sobie dopiero po trzech tygodniach, kiedy to miał w rękach suknię odebraną od żydowskiego krawca (tego samego, co na polecenie Sepka uszył dla Katji poprzednią, podróżną). Różowe cudo pachnące luksusem pojechało prosto do Birczy, a Toni, gdy wyobrażał sobie te chude, psie żebra w zawojach muślinu, czuł coś pomiędzy rozbawieniem a tkliwością.

Pod koniec stycznia Kowalscy zjechali do Jamnej na karnawałowy wieczór z tańcami i Tyszkowski, tak samo jak przedtem, wywieszony połową ciała z okna, wypatrywał podwójnych sań. Jak poprzednio, pierwszy wysiedli nestorzy rodu, potem Innocenty z narzeczoną panną Pankratiew, wreszcie Marcel, Stanisław

i Augusta. Bona i służąca wysiadły ostatnie, a to dlatego, że pomagały podtrzymywać ciągnący się za panienką muślinowy, różowy tren.

„Wybacz, Antoni – odezwała się w salonie Augusta z kpiącym uśmieszkiem, którego sens dopiero teraz dotarł do Tyszkowskiego – ale przekonałam Jekaterynę, że w różowym jest mi bardziej do twarzy niż jej”.

To powiedziawszy, nakazała służącej zdjąć z siebie szal i okręciła się wokół własnej osi, zmiatając fałdami sukni konfetti, którym Antoni nakazał hojnie posypać podłogę.

„I jak ci się podobam?” – spytała, unosząc podbródek.

Toni spojrzał na złote włosy spięte szmaragdowym diademem, precudnej głębi błękitne oczy, alabastrowe ramiona przysłonięte drgającą mgiełką muślinu i wyobraził sobie, jak suknia wyglądałaby na tej, dla której była przeznaczona.

„Nie mam porównania” – wypadło z niego, nim zdążył się pohamować. „Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, Jekateryna jest szczuplejsza od acanny, więc te wstawki – wskazał na wszyte pod stanikiem ciemniejsze pasy materiału – szpecą całość”.

To powiedziawszy, skłonił się i pomaszerował do bawialni, pod pretekstem doglądnięcia służby. W myślach podziękował matce, która stale coś przerabiała w swych sukniach, racząc krawieckim słownictwem wszystkich domowników, włącznie z synami.

Od tamtego czasu stosunki między rodzinami Tyszkowskich i Kowalskich – już i tak nie najlepsze –

ochłodziły się ostatecznie. Toni nie mógł wybaczyć Augustcie, matka – Innocentemu, który nieopatrznie słowy obraził goszczącą w Jamnej księżnę Sapieżynę, a wieść o tym, że pan Adam niegdyś skazał na śmierć ojca Katji za rzekome wspomaganie czerni, przypieczętowała rozbrat.

Dopiero dzisiaj, dzięki temu listowi, dusza Antoniego, zalana smutkiem i gorzalką, drgnęła, uruchamiając falę wspomnień.

Otrząsnął się. Zamknął okno i odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi, uderzając kopertą o szeroką, upstrzoną nagniotkami dłoń.

– Cóż się tak jaśnie pan zafrasował? – spytała Sabina, zerkając z niepokojem. – Czy jakie złe wieści?

– Wręcz przeciwnie. Chcą, żebym w Birczy zapłował.

Sabina pokręciła głową.

– To ci pomysł! Godzi się w taką pogodę człowieka posyłać, żeby prosił na polowanie?... Nawet sań mu nie dali, mało brakowało, a zamarzlby na gościńcu!

– Widać, ważne polowanie.

– Może znowu chcą pana swatać z panienką Augustą?

Toni posłał ochmistrzyni zmęczone spojrzenie.

– Panie Toni, przecie wszyscy wiedzą, że wielmożnej panience lat nie ubywa, a za miedzą się taki ładny majątek marnuje! Jakie to byłoby szczęście dla panienki się za pana wydać. A jak nie za pana, to choć za pana Sepka!

– Pojemne serce musi mieć panienska, skoro jest jej obojętne, za którego z nas za mąż wyjdzie.

– Pewnikiem za tego, który więcej odziedziczy.

Parsknął śmiechem. Sabina spojrzała na niego ciepło. Tknięty nagłymi wyrzutami sumienia chwycił czerwoną dłoń ochmistrzyni i ucałował.

– Przebacz mi, Sabinko, żem tak na ciebie napadł! Żle mi ostatnio, pozbierać się do kupy nie mogę. Nie wiem, czy to pogoda, czy samotność, czy matka mi za dużo przed odjazdem nagała... Dziczeję w tym dworze, jak zwierzę. – Puścił jej rękę i wymamrotał pod nosem: – Może to prawda, co mówią we wsi, że czaroducha rzuciła na mnie urok?...

Sabina z westchnieniem sięgnęła po ciśnięty niedbale na łóżko szlafrok, stanęła za plecami Toniego i poczekała cierpliwie, aż pryncypał trafi w rękawy.

– Głupoty! – prychnęła. – Niechże mi śmiałość pan wybaczysz, ale gdybyś pan jeno na gadaniu głupot poprzestał, byłoby dla wszystkich lepiej. Ale pan od złych słów przechodzisz do czynów i do ciężkich grzechów, jak ten, którym teraz cuchniesz! Tak jak pan piją tacy, co sami siebie traktują jak wroga!

– Wroga się zabija. Tak mnie w wojsku uczono.

– A Chrystus kazał swoich wrogów miłować! Na litość boską, czas się opamiętać! – Spozregła się, że podniosła głos, i naraz przycichła. – Po to pana na własnych kolanach kołysałam, po to pana wypieściłam od pacholęcia, żeby patrzeć, jak się pan zabijasz?... Miejże pan litość nad starą kobietą!

Poprawiła szlafrok, strzepnęła jakiś pyłek. Tyszkowski – zmarszczony, nieruchomy, dotknięty tym wyznaniem w samo serce – miał w dłoni list.

Czułostkowość, jak zwykle u silnych kobiet pokroju ochmistrzyni, trwała nie dłużej niż mgnienie oka. Nie minęła minuta, kiedy Sabina westchnęła, zasłoniła połamami szlafroka jaśniepański nagi tors (choć tak był owłosiony, że słowo „nagi” nie bardzo do niego pasowało) i związała pasek, ściskając silnie supeł. Toniemu się odbiło.

– Koniecznie chcesz zobaczyć, co wczoraj jadłem? – mruknął.

– Widziałam. – Poluzowała pasek. – Od miesiąca ogłądałam pański jadłospis pod tym oknem, podobnie jak wszyscy w domu! Cała służba, stajenni, a dziś nawet ten nieszczęsny posłaniec z Birczy! Wstyd i sromota!

– Gdzie jest posłaniec? – zmienił temat.

– W kuchni, mówiłam przecie... – Naraz poczuł na sobie badawczy wzrok Sabiny. – Chyba pan nie myśli w tę pogodę do Birczy jechać?!

Tyszkowski teatralnie zatkał uszy, ale niewiele to dało.

– Na świętą Pokrowę Bogurodzicę, mało to zwierzy-ny w naszym lesie?! Zasypie pana na ament, zamarnie pan! Pół biedy z panem, ale koni szkoda!...

Nie wytrzymał.

Chwycił filizankę (za drugim razem, bo za pierwszym nie trafił w uszko), połknął kawę jednym łykiem, wyminął ochmistrzynię i wyszedł z sypialni.

Na korytarzu zakręciło mu się w głowie. Zwolnił kroku, ostrożnie dotarł do schodów i jeszcze ostrożniej zszedł na parter. Zajrzał do kuchni, a potem do

czeladnej izby, gdzie przy skleconym z desek stole chłop w baranicy siorbał barszcz z cynowej miski.

Na widok jaśnie pana chłop zerwał się, zdjął czapkę i zastygł w postawie na baczność, co natychmiast zjednało mu sympatię Toniego. Czuł słabość do wszystkich skoszarowanych.

– Spocznij! – rzucił, a chłop odruchowo przyjął swobodniejszą pozę. – Gdzieżeś to służył?

– W Przemyślu! – szczechnął po wojskowemu posłaniec. – Dziesiąty Galicyjski Pułk Piechoty!

– W istocie piechur z ciebie przedni! W taką pogodę wspinać się po naszej górskiej drodze! Ileś szedł?

– Będzie z osiem godzin, wielmożny panie! Gdyby śnieg nie padał, dotarłbym szybciej.

Tyszkowski gwizdnął z podziwu. Chłop – niemłody, ale wyprostowany i szeroki w barach – śmiało lustrował go spod zmrużonych powiek.

– Zwą cię jakoś?

– Sawka, do usług wielmożnego pana.

– Najadłeś się, Sawka?

Chłop zerknął na miskę.

– Wyśmienicie, wielmożny panie. Ta miła jejmość, co mi barszczu dała, nie dość, że przednio gotuje, to przystojna kobieta...

– A wredna!... – wyznał szeptem jaśnie pan i odwrócił się do drzwi. – Ej, durniu, jesteś tam?! – wrzasnął, aż zadźwięczała cynowa miska.

– Jestem, jaśnie panie!

W czeladnej izbie zamajaczyła blond czupryna Oktawiana. Toni skrzywił się, jakby rozboleł go ząb.

– Skończ podszczypywanie dziewczek i powiedz Sabinie, niech da temu tutaj dolewkę i jakie mięso! Gościa w taką pogodę trzeba ugościć po królewsku!

Odwrócił się do Sawki.

– Za jaką godzinę gotuj się do drogi powrotnej. Pojedziesz razem ze mną do Birczy.

Sawka skłonił się z wdzięcznością.

– Zaszczyt to dla mnie, wielmożny panie. Powozić umiem niezgorzej i bardzom panu wdzięczem, że nogi mi wypoczną.

Toni nie wysłuchawszy podziękowań do końca, wypadł z izby.

Ogarnęła go dzika radość. Ileż to dni przeżył w obawie, że dawni przyjaciele nie będą chcieli podtrzymywać stosunków! A tu proszę! Zaproszenie na polowanie! Może przy okazji uda się załatwić trochę naboju? Przecież nikt inny, a właśnie on, Toni, przywiózł Innocentemu i Marcelowi takie same jak jego lefoszówki z Wiednia! Myśliwska brać zawsze musi być dla siebie wsparciem. Ach, jechać, jechać jak najprędzej!

Wbiegł po schodach na piętro i dziarsko skręcił do kąpielowego pokoju.

– Ej, durniu! – ryknął w przestrzeń. – Szczotka, mydło, ręcznik, brzytwa! I gorąca woda! Migiem!

Rumor na dole świadczył o tym, że wezwanie dotarło do adresata.

– Sabino! Potrzebuję pomocy!

– Pali się?! – burknęła ochmistrzyni z głębi domu, ale chwilę później ukazała się w korytarzu, niosąc pod pachą tobół świeżo upranej bielizny.

– Sabino – zaczął – rozumiesz, że nie wypada mi je-
chać do sąsiadów byle jak ubranym. Przygotujże mi co
stosownego, wiesz... koszula z cienkiej wełny, najlepiej
ten paryski model od Fiorentiniego, halsztuk z ałasu,
mankiety i kołnierzyki odprasowane i wykrochmalone,
jedwabna chustka, rękawiczki i cała reszta...

Skrzywiła się, dając do zrozumienia, że nie gustuje
w tanich poufałościach.

– Odkąd to na polowanie ubiera się pan w ałasy?

Toni zaklął w myślach.

– I wodę kolońską przynieś, bom starą rozbił.

– A nie wypił przypadkiem? Pan żeś powypijał nawet
lilie w spirytusie, co je wielmożna pani własnoręcznie
przygotowała do odkażania ran... Wtedy, co śnieg zasy-
pał drogę do arendarza, pamięta pan?...

– Ałun i proszek do mycia zębów – przerwał oschle.

– Który proszek? Ten z przepisu panny Katji? Miałko
starta szałwia z fiołkowym korzeniem i paloną magne-
zją? Wspaniały przepis, gęba pachnie jak bukiet! Jak pan
chuchnie na polowaniu z wiatrem, to zwierzyna z za-
chwytu sama się pokotem położy. A jak jeszcze zobaczy
myśliwego w ałasach...

I rozrechotała się donośnie, trzęsąc brzuchem.

Jeśli kiedykolwiek chciał zamordować Sabinę, to dzi-
siaj był tego najbliższy. Popatrzył jej głęboko w oczy.

– Cieszę się, że mogę być przyczyną tak dobrego
humoru jejmości. Nie chciałbym go psuć łajaniem, jak
to się czasem panom wobec opieszalnych sług przyda-
rza...

I tu uśmiechnął się słodko, klnąc na drgający ze złości policzek.

Sabina prychnęła, poprawiła na biodrze tobół z bieliną i z zadartą głową oddaliła się korytarzem.

Godzinę później Toni w wilczym futrze – wyświeżony, ogolony, pachnący fiołkowym korzeniem niczym posługacz w burdelu – zasiadł w saniach.

Śnieg ustał zupełnie, promienie słońca ślizgały się po gładkich jak budyń zaspach.

Sawka cmoknął na konie, lekko trzepnął lejcam i ruszyli w drogę.



Niebiosa okazały się łaskawe – odkąd Toni rozparł się w saniach na siedzeniu, nie spadł ani jeden płatek śniegu, wiatr umilkł, a słońce przygrzewało końskie grzbiety, tak że lśniły jak naoliwione.

Po półgodzinie, znudzony patrzeniem na plecy Sawki, Tyszkowski wyjął z zanadrza srebrną papierośnicę i zerknął w jej wieko jak w zwierciadło. Przyglądził brwi, wyszczerzył zęby. Ślady wczorajszego pijaństwa zdążyły się już zatrzeć. Z tafla papierośnicy patrzyła nań wołoska, dzika gęba – ciemna jak u Cygana, posępna, harda, o malachitowych oczach i krzywych ustach naczynionych rysem okrucieństwa.

Naciągnął oburącz smagłe policzki. Koniec z piciem, bo skóra robi się obrzmiała! Chce zobaczyć czaroduchę trzeźwym okiem i trzeźwo osądzić, czy warto sobie nią